Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Na stanowisku. Fot. Jan Sokołowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 31 (686) 30 LIPCA 1932 R.

DO PP. PRENUMERATORÓW PÓŁROCZNYCH I KWARTALNYCH!

Uprzejmie przypominamy, że numer bieżący jest ostatnim, który otrzymają zalegający z opłatą prenumeraty. O ile należności za prenumeratę nie otrzymamy w przeciągu 3 dni od chwili wręczenia numeru niniejszego, ekspedycja „Łowca Polskiego", stosownie do obwieszczeń, opartych na postanowieniu władz P. Zw. S. Ł., wstrzyma dalszą wysyłkę pisma.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".



Aport. Fot. Zbigniew Wóycicki.

MYŚLIWSKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, redakcja „Łowca Polskiego", dorocznym zwyczajem ogłasza myśliwski konkurs fotograficzny.

P. P. Myśliwi zechcą nadesłać nam ciekawsze i piękniejsze zdjęcia łowieckie, które mogłyby się nadać do reprodukcji w naszem piśmie.

Na zdjęciach podać należy: krótki tytuł zdjęcia, nazwę miejscowości i powiatu oraz godło autora fotografji.

Nazwisko i adres, wypisane wyraźnie, pomieścić należy w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej tem samem godłem, co i nadesłane fotografje. Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie i trofea łowieckie.

Nagrodę I-szą stanowić będzie suma zł. 100,
„ II-gą — zł. 50,
„ III-cią i IV-tą — roczna bezpłatna prenumerata „Łowca Polskiego",
„ V-tą — półroczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Jury składa się z członków Komitetu Redakcyjnego.
Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 15 października r. b.

UWAGA: Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej reprodukcji — jest ostra fotografja, właściwie eksponowana i odbita na papierze bromosrebrnym. Najbardziej pożądany jest kolor odbitki czarny; koloru sepjowego mogą być tylko odbitki bardzo ostre i wyraźne.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO".

WYJAŚNIENIA, KTÓRE, JAKBY NALEŻAŁO SĄDZIĆ, SĄ ZBĘDNE.

Doprawdy nie wiem jak mam odpowiadać prof. Wodzickiemu na Jego zarzuty, wytaczane w polemice ze mną. Polemika ta, w której wielokrotnie jestem zmuszony powtarzać jedno i to samo, mnie już znudziła, a cóż dopiero mówić o czytelnikach. Najchętniej nie odpowiadałbym więc wcale, gdyby nie to, niestety, że prof. Wodzicki stale wmawia we mnie przekonania, których nigdy nie miałem i nie wypowiadałem. Gdybym więc nad ostatnim (patrz „Łowiec Polski" b. r. Nr. 27) artykułem mego zawziętego przeciwnika, przeszedł do porządku dziennego, możnaby sądzić, że przyznaję się do poglądów, których nigdy nie wypowiadałem. Odpowiem więc raz jeszcze. Możliwie krótko. Postaram się pisać jeszcze wyraźniej, niż w artykule poprzednim. Może wreszcie zostanę zrozumiany. W tym celu też odpowiedź swoją dzielę na szereg ustępów.

1) Niepotrzebnie prof. Wodzicki żałuje, że nie przekonał mnie swemi wywodami o konkretnem współdziałaniu myśliwych w dziele ochrony przyrody. O tem współdziałaniu nie trzeba mnie przekonywać. Było ono dla mnie zawsze zupełnie jasne. A w trakcie naszej dyskusji aż dwukrotnie (widać i tego mało) podkreśliłem zasługi świata myśliwskiego w dziele ochrony przyrody. Na str. 138 — 139 bieżącego rocznika „Łowca Polskiego" pisałem: „Będąc od dziecka myśliwym, z dumą zawsze podkreślam, że jeśli łoś, jeleń, niedźwiedź i wiele innych gatunków występuje dzisiaj na ziemiach naszych, to jest to tylko i wyłącznie zasługą myśliwych". Zaś na str. 336: „Łowiectwo, które ma olbrzymie zasługi na polu zachowania szeregu przedstawicieli naszej fauny, w dalszym ciągu przedstawia doskonałe gwarancje co do zachowania niektórych gatunków zwierząt łownych i ono też przedewszystkiem jest powołane do sprawowania opieki nad temi zwierzętami". Zdawałoby sie, że pogląd wypowiedziany dostatecznie jasno. Dziwię się też, jak można komuś, co pisze w ten sposób, zarzucać „że nie zwrócił uwagi na konkretne przykłady konkretnego współdziałania długiego szeregu myśliwych w dziele ochrony przyrody". Komuż tedy trzeba zarzucić niezwracanie uwagi na to, co mówi uczestnik dyskusji?

2) Nie wiem, co ma znaczyć w ostatnim artykule prof. Wodzickiego ujęcie w cudzysłowy określenia „świat myśliwski". Niepotrzebnie prof. Wodzicki pisze, że ten „świat myśliwski" jest dla mnie czemś niejasnem. Określiłem go dokładnie na str. 334 bieżącego rocznika „Łowca Polskiego". Prof. Wodzicki wyraża nadzieję, że i ja z czasem uznam możność współpracy łowiectwa z czynnikami ochrony przyrody. Czyż wielokrotnie nie wypowiedziałem się, że ta współpraca już istnieje! Jak wobec tego wyglądają ubolewania prof. Wodzickiego, że ja tego faktu nie chcę uznać?

3) Prof. Wodzicki bardzo stanowczo zastrzega się przeciwko ustępowi mego artykułu (p. 335 l. c.), w którym piszę, że zapoznawszy się dokładnie z jakąś sprawą — uniknie się insynuowania komuś poglądów, których nie ma i których nigdy nie posiadał. Stanowczość tego zastrzeżenia godna podziwu. Jak wygląda ona po uważnem przejrzeniu naszej polemiki, chociażby tylko po przeczytaniu ustępu 1-go niniejszego artykułu?

4) W następnych wierszach swej odpowiedzi prof. Wodzicki pisze, że „najwybitniejsi przedstawiciele P. R. O. P. stanęli na stanowisku, iż nie może być rozdźwięku pomiędzy ochroną przyrody i łowiectwem, jeśli obie strony będą spełniały swe obowiązki". To stanowisko P. R. O. P. przeciwstawia prof. Wodzicki mojemu, z czego wynika jakobym był zdania, że między myśliwymi i ochraniarzami musi być nieprzezwyciężony rozdźwięk.

Stwierdzam, że zarówno z całości artykułów moich, pisanych na ten temat, jak i z ustępu 5-go końcowej części mej repliki (p. 336, l. c.) na artykuł prof. Wodzickiego — wynika coś wręcz przeciwnego. Czy prof. Wodzicki nie byłby skłonny przyznać mi w tem racji?

5) W dalszym ciągu podaje prof. Wodzicki wiadomość o przystąpieniu do Ligi Ochrony Przyrody dwóch organizacyj łowieckich w Krakowie. Fakt bardzo pocieszający. Radość moja z tego powodu będzie tem większa, jeśli się dowiem, że te towarzystwa przystępując do ligi wypisały na swym sztandarze: „ten kto tępi zwierzęta, nie zasługuje na miano myśliwego". Sądzę, że prof. Wodzicki czytał, co pisałem na ten temat (l. c. p. 334): „Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jest tak odległym czas, w którym szerokie rzesze naszych myśliwych przejmą się całkowicie ideologją ochrony przyrody i zaczną brać pod uwagę zdobycze nauki". Pocóż więc fakty przystępowania organizacji myśliwskich do Ligi Ochr. Przyr. przytaczać w szeregu argumentów, wysuwanych przeciwko mnie?

6) Prof. Wodzicki stwierdza, że nie odpowiedziałem na poruszoną przez Niego „kwestję zakłócenia równowagi biologicznej przez człowieka w naszej przyrodzie". Jest to sprawa elementarna. Pisałem o tem zresztą dawniej („Ochrona Przyrody". Rocznik V, 1925), to samo właśnie, co pisze obecnie prof. Wodzicki. Cóż więc miałem odpowiadać?

7) Sprawa tabliczki. Pocóż zabłąkała się ona tutaj? Byłoby to istotnie bardzo zabawne, gdyby było tak, jak pisze prof. Wodzciki. Było jednak inaczej. Owa tabliczka miała wskazywać drogę do „Domu Wypoczynkowego Asystentów" na Klimkówce. Przeciwko takiemu napisowi protestowałem. Byłaby to żywa propaganda budowy domów wypoczynkowych w głębi Tatr. Zgodziłem się na tabliczkę z wskazaniem drogi „na Klimkówkę". Krótko mówiąc jedynie na zwykły drogowskaz, objaśniający, którędy należy iść czy jechać na tę polanę, bez objaśnienia co się tam znajduje. W dyskusji, którą na ten temat prowadziłem wówczas z mieszkańcami domu wypoczynkowego, słyszałem poważniejsze argumenty niż

„dictum" o słupach telegraficznych. Ale poco wogóle z małej tabliczki robić wielki argument i to taki, który po należytem oświetleniu nie ma nawet małej wartości?

8) Dłuższy ustęp poświęca prof. Wodzicki sprawie literatury faunistycznej, dotyczącej Tatr. Otóż stwierdzić muszę, że dotychczas nie stawiałem prof. Wodzickiemu zarzutu nieznajomości literatury. Pocóż więc prof. Wodzicki sprawę tę podnosi i z kilkudziesięciu prac, dotyczących ssaków i ptaków tatrzańskich, w zapale erudycyjnym cytuje ich aż sześć?

9) Sprawa jelenia. Prof. Wodzickiego ogarnia śmiech, gdy czyta utyskiwania z powodu wybijania jeleni w Tatrach. Przyznam się, że i ja się uśmiechnąłem, gdym przeczytał to, co prof. Wodzicki pisze o jeleniach. A więc: „Już sam problem jelenia w Tatrach należy pod tym kątem rozpatrywać, że nie jest to nowość, której nie było jeszcze niecały wiek temu" (l. c. p. 445). Kilka zaś wierszy dalej proponuje wystrzelanie jelenia wapiti, „by nie popsuł resztki jelenia orawskiego, zapewne jednego (sic!) z jeleniem karpackim, niezrównanym pod względem wieńca, jaki ma się znajdować w okolicach Osobitej i Tatr Zachodnich". Zdarza się, jak wiemy, że polemizujący autor w zapale nie przeczyta dokładnie tego, co jest napisane w zwalczanym przezeń artykule. Dlaczego jednak prof. Wodzicki, przed oddaniem do druku, nie przeczyta dokładnie tego, co sam napisał?

10) Prof. Wodzicki pisze: „w chwili gdy się przystępowało do zakładania matecznika przedstawicieli naszej wyższej fauny w Tatrach, należało na podstawie studjum literatury i czynników przyrodniczych na miejscu zastanowić się, co rezerwat może i co powinien, szczególniej jeśli chodzi o zwierzęta ssące, posiadać i utrzymać". Ma to niby oznaczać, że ci, którzy się tą sprawą zajmowali, nie zrobili tego *). Potem następują wyżej cytowane dowody, że jeleń był, a jednocześnie nie był w Tatrach. Te niewątpliwie wejdą do literatury. Jako klasyczne. Mniejsza o to zresztą. Na jakiej jednak podstawie prof. Wodzicki stawia zarzut i to zarzut ciężki, tym, którzy zajmowali się tą sprawą, że się z nią dokładnie nie zapoznali? Czyż prof. Wodzicki istotnie wierzy w to, że on dopiero pierwszy tak głęboko w zagadnienie wniknął?

11) Prof. Wodzicki podnosi myśl wystrzelania w Tatrach jelenia wapiti i jego krzyżówek, aby ocalić w ten sposób resztki jelenia Tatr Zachodnich. No tak, niewątpliwie byłoby dobrze, gdyby można to było zrobić. Prof. Wodzicki twierdzi, że „każdemu niemal, kto choć przez chwilę zastanawiał się nad sprawą jelenia w Tatrach, myśl podobna nasunie się. Zgadzam się z tem. Muszę jednak zauważyć, że nie u każdego się ona ostoi. Bowiem każdemu, kto się na rzeczy rozumie, musi przyjść natychmiast do głowy, że jest bardzo problematycznem, by w Tatrach (i ich sąsiedztwie) był obecnie choć jeden jeleń czystej krwi autochtonicznej. Jak zresztą tego autochtona rozpoznać wśród mieszańców, powstałych z kilku form (nietylko jelenia wapiti), sprowadzonych przez Hohenlohego? Dlaczego prof. Wodzickiemu nie nasunęły się te wątpliwości?

12) Jeszcze o jeleniu. Prof. Wodzicki wyraża niejako zdziwienie, że lwią część uwagi poświęcam w Tatrach jeleniom. Bynajmniej. Jeśli tak, to tylko w tej dyskusji. Dlaczego jednak prof. Wodzicki zmusza mnie do tego?

13) W końcowem zdaniu swego artykułu zarzuca mi prof. Wodzicki pesymizm. A ja pisałem: „Jeśli łowiectwo zgodzi się objąć opiekę nad całością fauny, to sprawę zachowania takowej będziemy mieli rozwiązaną". Czy to jest pesymizm? Czy to jest wypowiadanie się „w sposób całkowicie negatywny" na temat współdziałania myślistwa i ochrony przyrody?

*

Prosiłbym prof. Wodzickiego, jeśli już koniecznie chce mnie zwalczać, by zwalczał istotnie moje poglądy. Łatwo to można osiągnąć przez uważne czytanie tego, co piszę.

*

Każdy, kto uważnie śledził przebieg dyskusji, która ostatnio miała miejsce między mecenasem Garczyńskim, prof. Wodzickim i mną, powinien był, jak sądzę, dojść do wniosku, że dyskusję tę wywołałem głównie w jednym celu. Chodziło mi mianowicie o to, by myśliwi zgodzili się objąć opiekę nad całością fauny, to znaczy, by porzucili pogląd, nie wytrzymujący poważnej, naukowej krytyki, że dla dobra łowiectwa trzeba tępić zwierzęta drapieżne.

Na zwierzęta drapieżne można i trzeba polować, nie wolno ich jednak tępić. Jeśli naczelne organizacje łowieckie uznają ten postulat, a że go uznają, nie wątpię (taki już jestem pesymista), to pełne porozumienie świata myśliwskiego i świata ochrony przyrody nastąpi bardzo szybko.

JANUSZ DOMANIEWSKI.

Na powyższym artykule redakcja zamyka wynikłą polemikę, sądząc, że rozstrzygnięcie kwestji, ktyry z przeciwników ma słuszność — da się osiągnąć najlepiej przez szczegółowe zaznajomienie się z artykułami, które dały powód do sporów.— Przyp. red.

*) Zresztą dalej nieco pisze prof. Wodzicki: „zakładając park narodowy w Tatrach, nie zastanowiliśmy się wcale, które zwierzęta są Tatrom właściwe".



Z CYKLU MYŚLIWSKIEGO „BOJAN“.

III.

Nie zawsze jednak można było doczekać się zapadnięcia potężnego rozbójnika na widoczną sosnę; niekiedy, szczególniej właśnie rankami, pławił się on z lubością w przestworzach dłuższy czas, aby po zataczeniu kilkudziesięciu wielkich kręgów opuścić się gdzieś na ziemię w kierunku i odległościach niewiadomych.

Dzisiaj czas naglił Grzegorza i nie pozwalał na dłuższy postój, bo młody pies nie odchodził daleko od swego pana i chociaż zabawiał się w poszukiwania nieznanych mu mieszkańców lasu, którzy zostawili na swych drogach sporo ciekawej woni, wybiegał jednak co chwila do Grzegorza, jakby się chciał upewnić, że nie pozostawiono go własnemu losowi.

Więc, nie marnując ranka i cennej dla psich nosów rosy, kłusownik szedł dalej, mknąc polotnie, jak łoś, po miękkich mchach, od których nie odrywał prawie oczu.

Spłoszona wtargnięciem człowieka sójka zaskrzeczała w ciemnej świerczynie i ściągnęła głosem Bojana, z rezerwą przyglądającego się tym razem znanej sobie, a nieuchwytnej, kolorowej wścibskiej.

Przystanął też i Grzegorz. Nachylił się do ziemi, przeszedł kilka kroków w prawo, wrócił i znów się w lewo skierował, zmieniając całkowicie dotychczasowy kierunek wędrówki.

Na mszakach śródleśnych: rokitach, prątnikach i mchach gwiazdkowych, tuż przy karłowatych sosenkach widać było małe trójkątne odciski sarnich raciczek, dość jeszcze niedawno tutaj wtłaczanych, o czem się Grzegorz przekonywał po strąconej rosie, tworzącej w srebrzystem tle zroszonej łączki ciemniejszą smugę jaskrawej, choć zamierającej — zieleni i szarzyzny.

Przywołany pies, gdy mu pokazano ślady przejścia zwierzyny, pokręcił się na miejscu, wtykał nos w tropy, dmuchał, w następstwie mocno kichał, ale do gonienia się nie zabierał.

Widocznem było, że taki trop jest dla niego jeszcze za trudny, za stary, aby miał doprowadzić do ruszenia zwierzyny.

Widząc to, Grzegorz długo się nie namyślał. Sięgnął do torby, wyjął maleńką trąbkę, zrobioną z rogu padłej przed laty karmicielki-krowy, otarł rękawem i dłonią jej prymitywny, własnej też roboty, drewniany ustnik, przycisnął go silnie do warg i zadął, posyłając w górę przenikliwy, cienki, donośny ton.

Puszcza dobrze znała ten głos. Poniosły go „dęby— dębom, bukom — buki“, odbiły gdzieś od twardej ściany zwartego zagajnika, rozproszyły we wszystkie strony i zwróciły znów Grzegorzowi.

Chłop zagrał jeszcze raz, ale krócej, urywanie, mocno, a tysiące głosów pognało jeden za drugim, jak fale po wzburzonem jeziorze, aby się nigdy nie dopędzić i zginąć w przestrzeni.

Przeszło kilka długich chwil, zanim pojawiła się zdyszana i zmoczona Lutnia.

Pokiwało suczysko ogonem, przystanęło przed panem i rozparłszy się szerzej nogami, strzepnęło z grzbietu i całego ciała gęste krople rosy, zagarniętej z traw i liści.

— Dobra sobaczka, dobra — przemówił, jak zwykle, szeptem kłusownik. — Będzie tobie tu robota. — To mówiąc nachylił się nad tropem i palcem wskazał ogarzycy mało już znaczne jamki.

Lutnia wpakowała w nie zaraz cały nos. Z początku machała ogonem, delikatnie i ostrożnie węszyła, później dmuchnęła parę razy, jak zwykły czynić psy, którym się jakiś pył dostanie do dróg oddechowych i postępowała krok za krokiem, wsuwając w każdy ślad swój wspaniały oręż myśliwski i tak się powoli oddaliła w gąszcze, pozostawiwszy na miejscu Grzegorza z Bojanem, który tymczasem kręcił się przy sośnie, gdzie przed chwilą wbiegła w zręcznych skokach wiewiórka.

Kłusownik stał spokojnie, pewny już teraz swego zwycięstwa nad tropioną sztuką. Nie wiedział tylko, czy suka, ruszając głosem zwierzynę, porwie za sobą i Bojana, czy wciągnie go do wspólnej gonitwy, a o to mu najbardziej chodziło.

Widocznie ślad był niezbyt świeży, bo Lutnia milczała zawzięcie, lub może prowadził przez strumyk, w którym trop świeży, gorący ginął zupełnie i mógł być odszukany zaledwie przez wyjątkowo wytrawnego ogara; o starym śladzie wogóle nie można było mówić przy rzeczce, gdzie w mokrych brzegach zalałoby nawet tropy łosia i dzika.

W tych kontemplacjach Grzegorzowych przeszkadzały drobne ptaszyny leśne, których dużo jeszcze pozostawało przed odlotem i teraz wyśpiewywały na cześć wschodzącego słońca najwspanialsze, a tak częstokroć proste i dźwięczne hymny, że się chłop począł wsłuchiwać w tę poranną modlitwę puszczy z całą uwagą słuchacza, znakomicie odczuwającego ten koncert.

Naraz do tej przedziwnej harmonji wdarł się surmowy głos Lutni w przeciwnej, niż się Grzegorz spodziewał stronie, ale nagły, niespodziewany, jakgdyby wszyscy wrogowie psiego rodu atakowali sukę w rozstrzygającej i śmiertelnej batalji:

Po chwili bystrego namysłu rzucił się Bojan, a za nim i kłusownik na ten głos.

Lutnia najwidoczniej poprowadziła starym śladem, który wykręcał od strumyka z powrotem i dlatego teraz głosiła spotkanie w innej części lasu.

Grzegorz biegł szybko, przytrzymując lewą ręką, tłukącą się na plecach i boku torbę, a prawą ściskał strzelbinę, przewieszoną poziomo w dłoni.

Pomimo szybkości — nie łamał zwisających gałązek, nie wpadał na chróst, leżący wszędzie w znacznej ilości, wybierając drogę, jak wprawny, goniony zwierz, który pomyka obok myśliwego bez najmniejszego szelestu.

Po kilkuset krokach przystanął i nasłuchiwał. Razem z sopranowem, zajadłem szczekaniem Lutni

dźwięczał już teraz i wspaniały, aksamitny baryton Bojana, wtórującego swej matce w tym przepysznym, myśliwskim duecie gończych.

Grzegorz spostrzegł w grze ogarów coś niezwykłego, gdyż głosy ich, jakgdyby pochodzące z jednego ciągle miejsca, ulegały kolejno słabszym lub mocniejszym nasileniom, gon jednak nie oddalał się, ani zbliżał, a sarny przecież nie mogły stawiać oporu psom.

— Znaczy to — nie sarny, — zdecydował kłusownik — to... dziki. —

Poskoczył więc znów raźniej, a że od ostatniego polowania miał w lewej lufie swej wiernej kapiszonówki kulę, — nie tracił czasu na kłopotliwe nabijanie.

Psy trzymały się dzielnie.

Suka, buszując początkowo za tropem sarnim przy strumieniu, natknęła się na świeże, dzicze kąpiele, jak niektórzy nazywają wanny, w przybrzeżnem torfowisku, więc ruszyła za świeższym, silniejszym, świńskim odorem i niebawem odnalazła lochę z dużemi już warchlakami, zajętą żerowaniem na dość otwartem miejscu.

Ma się rozumieć dopadła pierwszego z brzegu prosiaka, uszczypała go mocno w pośladek, ale błyskawicą ruchu matki zmuszona była początkowo cofnąć się na dalszą odległość i dopiero gdy bure potomstwo skryło się z pośpiechem w świerczynie — przystąpiła do ostrego atakowania zasłaniającej odwrót i ucieczkę rodziny — lochy.

Tę zmusiła do zajęcia pozycji obronnej, utworzonej z pnia zwalonego przez wichurę jesionu, do którego potężna maciora przylgnęła tyłem, nastawiwszy spieniony ryj zręcznemu przeciwnikowi.

Ślepia jej słały błyskotliwe rakiety złości, nienawiści i postrachu, przed któremi pierzchał już niejeden wróg w życiu pełnem niebezpieczeństw, jakie niosły z sobą zgłodniałe stada wilków i krwiożercze, przebiegłe rysie.

Pojedynek z samotną suką zamienił się w bezładne nieco natarcie, po przybyciu na miejsce walki jej syna.

Bojan doskoczył zrazu tak blisko, jak do domowej świni, ale wnet się opamiętał i ledwie zdążył uniknąć straszliwego w skutkach uderzenia potężnym ryjem, a gdyby nie taktyczny wypad matki, skierowany w tej samej chwili na drugi bok srogiego przeciwnika, kto wie, czy gorący temperament nie sprowadziłby dla młodego psa bardzo poważnej, równie bolesnej nauczki, a może tę nierozwagę psisko przypłaciłoby nawet życiem.

Opieka i poświęcenie matczyne niejedno zachowały dziecko.

Walki tej nie można było nazwać nierówną, gdyż jeden z psów musiał ją prowadzić i pokazał już dzikowi, że w razie braku respektu potrafi go nakazać bolesnem żądłem swych mocnych, szarpiących, ostrych kłów, które wszakże mogły być tylko przykre, ale nie zagrażały życiu.

Świeży przybysz w postaci Bojana został odrazu oceniony, jako odważny awanturnik, nie zmuszający do szacunku przez trzpiotowatość i brak planowej akcji, więc locha mogła się ruszyć i pójść gąszczami, prowadzącemi przez bagniska, gdzie psy musiałyby zająć bardziej niewygodne dla siebie pozycje.

Chodziło jednak o przeczekanie ucieczki warchlaków, o zatrzymanie natarczywego, nieznośnego napastnika, który mógł uczynić krzywdę słabszej młodzieży, więc maciora przyjęła wyzwanie i grała na zwłokę.

Bojan rozżarł się teraz na serjo. Żadna z wioskowych świń nie była mu tak nienawistną, jak ta czarna bestja, ziejąca gorącym tchem, przesyconym zapachami grzybów, korzonków, jagód, żywicy, zielska i zboża.



Parostki kozła, upolowanego przez p. Stanisława Meyera w czerwcu r. b., w Gościeradowie (woj. Lub.).

Co za szalona roskosz byłaby zapuścić kły w to wielkie, niedostępne, urągające swym spokojem i bezruchem cielsko? Z jaką pasją rzuciłby się Bojan do boków ogromnego, stalowego posągu, aby wypruć gorące, świeże, oblane dymiącą posoką wnętrzności, gdyby nie to groźne spojrzenie małych, ruchliwych, krwią nabiegłych oczu, — gdyby nie ten kłapiący straszliwemi zębiskami, zapieniony, łyskający śliną i potężnym ozorem ryj?

Ale próbować można i trzeba, więc psy harcowały przed rozzłoszczonym dzikiem, jak wiejskie kundysy przy rozigranej, swawolącej stadninie, którą wolno jest oszczekiwać i okrążać, ale biada temu, kto ośmieliłby się jej dotknąć.

Lutnia musiała walczyć za dwoje.

Wielekroć syn jej zbliżał się zanadto do groźnego wroga, doskakiwała jeszcze bliżej, starając się całą uwagę i przypuszczalny atak zwrócić na siebie. Raz nawet musiała, w gorączce bitwy, udrzeć roznamiętnionego synalka za tył, aby się cofnął, opamiętał i nie narażał zuchwalstwem bez pożytku i potrzeby.

Psy wyglądały jak potwory. Zjeżone dla powiększenia grzbiety, rozwarte, ociekające pianą, czerwone pyski, zbrojne w połyskujące rzędami, mocne, białe

zęby, nad któremi podniesione dla postrachu falle ukazywały krwiste oprawy dziąseł — nie zamykały ochrypłych złością gardzieli ani na chwilę.

Las grzmiał od tych wstrząsów donośnych, huczał ciągiem nieprzerywanych ujadań i tłumił wszystkie inne głosy kniei.

Puszcza w pobliżu i dalej drgała tym bojem naturalnym, w którym tylko dzieci przyrody mogły stawiać otwarcie czoło przeciwnikowi. Wokoło zamilkły wszystkie ptaki, pierzchały ukradkiem i w pośpiechu sarny, pomykały zbudzone w swych kotlinach zające i wynosiły się precz, jaknajdalej od groźby śmierci, jaką w tej hałaśliwej potyczce potężniejszych od siebie przeczuwały.

Dzik usiłował parę razy ruszyć się z zajętej pozycji, ale go Lutnia mocnym uchwytem ostrych kłów zmuszała wnet do przysiadu i powrotu tyłem do zwału, na który znów wskakiwała, jak na bezpieczną, pancerną wieżę, dającą możność wyładowania swej zemsty przez bolesne udarcie dotykającej do drzewa, grzbietowej szczeciny.

Naraz, jak wystrzał artylerji, wśród walki karabinowej, gdy obydwa psy odsunęły się na boki, huknęła Grzegorzowa strzelba i locha, trafiona od tyłu we wzniesiony nad pień drzewa łeb, osunęła się ciężko na stratowane racicami trawy.

Doskoczyły teraz zwycięskie psy do drgającej konwulsyjnie maciory: jęły się boków, uszu, biegów i charcząc złośliwie, szarpały bezpiecznie niedołężnego, groźnego jeszcze przed chwilą wroga.

Południe już dobiegało. Ogary były nażarte i ociężałe, gdy Grzegorz obmywał je z krwi w puszczańskim strumyku.

W górze, jak rankiem, pławił się w chłodniejszej strefie jastrząb, a w gąszczach przybrzeżnych oczeretów przekomarzał się skrzeczący trzciniak-drozdówka:

Hrehor, Hrehor — tak, tak,
Schował dzika — w krzak, krzak,
Będzie w chacie — smak, smak.

JERZY DYLEWSKI.

Z G R Z Y T.

(Z CYKLU JANKA*).

P. Włodzimierzowi Korsakowi.

Korzystając z parodniowych świąt, przyjechała Janka do rodzinnej posiadłości. Już przed tygodniem, siedząc w klasie, pośród licznych koleżanek, rozmyślała o tem, jak pięknie jest teraz na wsi. Napróżno starała się wówczas skupić uwagę i słuchać tego, co opowiadał dobroduszny historyk, napróżno przyjaciółki omawiały swe sukcesy z ostatniego wieczorku — nie interesowało już jej to zupełnie. Myśl natrętna o rychłym wyjeździe na wieś całkowicie ją zaabsorbowała i wyrywała się ustawicznie naprzód, chcąc już tę chwilę jakkolwiek przyśpieszyć. To też i teraz, siedząc na kanapie w gabinecie ojca, rozmyślała o cudach przyrody, przejawiających się właśnie w tym czasie, gdy cała natura zdawała się śpiewać jeden potężny hymn na cześć życia i miłości.

W czasie feryj wielkanocnych brała po raz pierwszy w życiu udział w polowaniu na słonki. Urok tych romantycznych łowów pozostawił w jej duszy niezatarte wrażenie. Drzemiąca w sercu żyłka myśliwska drgnęła gwałtownie, pociągając ją na łono przyrody, zachęcając do szukania wrażeń i przygód łowieckich, zawsze świeżych i zawsze jednakowo pięknych. Pamięta jeszcze te trudności, z jakiemi wówczas musiała walczyć, by uzyskać zezwolenie ojca i aprobatę brata. Pamięta gwałtowny łomot serca w chwili, gdy gajowy udał się na poszukiwanie ubitej słonki, a potem usłyszała to upragnione „jest panienko". O, jakże wówczas czuła się szczęśliwą, z jaką radością wkraczała pod dach rodzicielski, dźwigając z namaszczeniem to pierwsze w życiu trofeum.

Oczekując teraz na przyjście brata, przygotowującego dla niej ładunki, przyglądała się swemu męskiemu ubiorowi i długim butom, które już wypróbowała w czasie uprzednich łowów. Były doskonałe i nie przepuszczały wcale wody, pomimo spaceru po mokradłach. Miała zamiar dziś jeszcze wybrać się na włóczęgę myśliwską. Nie chodziło już jej o zwierzynę. Pragnęła tylko zobaczyć teraz, na wiosnę, las, gwałtownie budzący się do życia, przy dźwiękach kapeli przybyłych z za morza koncertantów.

Zdjąwszy z rożków sarnich swą wierną szesnastkę, powitała ją radosnym uśmiechem, jak przyjaciółkę. W tej chwili, w drzwiach gabinetu, ukazał się brat, przynoszący gotowe już naboje. Rozradowana, krótkim trzepotem rozpostartych szeroko rąk, objęła go za szyję, zasypując gradem pocałunków, potem umieściła ładunki w kieszeni swej kurtki myśliwskiej i ucałowawszy dłoń ojca — jak ptaszek wyfrunęła na podwórko, kierując się aleją topolową w stronę brzezinowych zagajów. A za nią pobiegły dwa męskie spojrzenia radosne i miłujące.

Była to druga połowa maja. Lasy okryły się drobnem jeszcze, jasno-zielonem listowiem i wyglądały w oddaleniu jakby przysłonięte lekką mgłą. Kilka klonów przydrożnych, usianych gronkami żółtego, opadającego już kwiecia, złociło się w oddali jakby kopuły jakichś świątyń. Ale najpiękniejszy był gaj brzozowy, gdzie smukłe, białe pnie, wyglądające jak panienki w śnieżnych welonach i zielonych wieńcach na fali długich, rozwianych włosów, wdzięczyły się do niemej pieszczoty swawolnego słońca, rzucającego złote błyski przez szczeliny w drzewnych koronach. U podnóża drzew, jak rozesłany kobierzec, rosły zwarte łany zawilców, a miejscami kaczeńców i kopytnika. Na wilgotnych kępach mchu wiły się długie, omszone pnącze zielonych widłaków, a na suchszych polankach i porębach sterczały obumarłe, zeszłoroczne jeszcze wrzosy, pozbawione zieloności i życia.

*) Pierwsze słonki „Łowiec Polski" Nr. 18 z r. b.

Janka posuwała się wolno, rozglądając się uważnie dookoła. Jakaś niewysłowiona radość zalała jej serce. Chciało się jej śpiewać, weselić się razem z ptakami, chciało się upaść na darń zieloną, a ukrywszy twarz w łanie barwnego kwiecia — chłonąć jego subtelny zapach. Porzuciła wkrótce ścieżkę i zagłębiła się w gąszcz brzezinowych zagajników, siedziby lęgowych słonek, siedzących już obecnie na jajach, podczas gdy osamotnione samczyki ciągnęły jeszcze niekiedy o zmierzchu, wspominając przeżyte niedawno chwile przy boku ukochanych.

Tymczasem słońce pochyliło się nieco ku zachodowi, świecąc ukośnie poprzez czuby drzew. Janka wkroczyła właśnie pomiędzy kępy wzorzystego mchu, porastającego leśne podłoże, kiedy nagle tuż obok z cichem furknięciem porwała się słonka, a dziewczka dostrzegła w małem zagłębieniu cztery jajka, białawe, oliwkowo upstrzone, ułożone ostremi czubkami do wewnątrz w formie pięknej gwiazdki. Uśmiechnęła się radośnie na widok tego przyszłego życia i ruszyła dalej, kierując się już ku domowi.

Zrzedły wyniosłe pnie młodych brzózek, ustępując miejsce zrzadka rozrzuconym krzakom łozy, okrytej srebrzącem się u spodu listowiem. Grunt pod nogami stawał się coraz bardziej namokły, przechodząc już dalej w otwarty, trawiasty moczar, środkiem którego przepływał wartki strumień. Brzegi tej strugi porastały bujnie kwitnące niezapominajki, tworząc dwa długie, niebieszczące się w słońcu pasma, wygięte fantazyjnie w miarę skrętów i zawrotów biegnącej wody.

Janka, skacząc po wystających kępach, skierowała się naprzełaj w stronę widniejącego w oddali dworu, którego siwe, gontem kryte zabudowania, wyłaniały się nieśmiało z pośród zieleni starego ogrodu. Dochodziła już do strumienia, gdy naraz załopotały głośno skrzydła i piękny, zielonogłowy kaczor wzniósł się w powietrze, z trwożliwem kwakaniem. Odruchowo strzeliła z przyrzutu, prawie nie celując, a ptak skoziołkował, upadając z powrotem w przybrzeżną trawę. Rozradowana udatnym strzałem pobiegła ku niemu, nie zważając na kałuże płytkiej wody, rozpryskującej się pod jej butami. Wreszcie ujrzała swą zdobycz i jednym susem znalazła się przy niej. Ale twarz jej rozjaśniona wesołym uśmiechem — nagle spoważniała.

Kaczor, zestrzelony na tak bliską odległość, poraniony straszliwie nabojem śrutu, upadł na kępę przepięknych niezapominajek, obryzgując je obficie krwią. Ta purpura krwi na modrych, jak niebiosa, nieskazitelnie czystych kwiatach, była przykrym zgrzytem dla wrażliwego na wszelkie piękno duszy dziewczęcia. Kwiaty i krew, jak niewinność i zbrodnia...

W przystępie jakiegoś nieuzasadnionego, gwałtownego gniewu, zmiażdżyła nogami okrwawioną kępę i zabrawszy kaczora, szybkim, zdecydowanym krokiem udała się w stronę domu.

— — — — — — — — — — —

Podczas wakacyj letnich spotkałem ją znowu na łowach wśród młodego zagajnika. Ale nie miała już ze sobą strzelby. Na wąskim rzemyku, przewieszonym przez ramię, zwisał futerał aparatu fotograficznego.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.



Z KOMITETU BUDOWY DOMU ŁOWIECKIEGO.

W związku z koniecznością zamknięcia rachunków za rok 1931 i półrocze r. b., pozwalamy sobie prosić PP. Delegatów Powiatowych, Prezesów Stowarzyszeń Związkowych i wszystkich PP. Myśliwych, którzy posiadają książeczki z kwitami do zbierania ofiar na rzecz FUNDUSZU BUDOWY DOMU ŁOWIECKIEGO, — o łaskawe przekazanie wszelkich zebranych na cel powyższy kwot.

Książeczki prosimy zatrzymać w celu dalszego zbierania ofiar.

Pieniądze prosimy przekazać na konto Funduszu Budowy Domu Łowieckiego, P. K. O. Nr. 22939.

OBRĄCZKOWANIE PTAKÓW W TRZEBIENIU.

Obrączkowanie ptaków ma swoje duże znaczenie naukowe. I pomimo przeprowadzania go od całego szeregu lat przez zagraniczne, głównie niemieckie, stacje badania wędrówek ptaków, wciąż istnieją jeszcze znaczne luki, już nie mówię w podaniu zasadniczego wytłumaczenia tak zagadkowego w swej biologicznej istocie zjawiska, lecz nawet w podaniu dokładnego jego przebiegu nie jest nam w zupełności znanem. Znamy nieco dokładniej szlaki, szybkość i okresy ciągów kilku zaledwie gatunków ptaków, jednak odwieczne te wędrowne zwyczaje u długiego szeregu innych naszych skrzydlatych mieszkańców nie są jeszcze w wielu szczegółach dostatecznie poznane i zbadane. Specjalnie odnosi się to do naszych polskich stosunków: polska Stacja badania wędrówek ptaków, istniejąca dzięki inicjatywie znanego i tak zasłużonego naszego przyrodnika, prof. dra M. Siedleckiego przy Państwowem Muzeum Przyrodniczem w Warszawie pracuje dopiero od roku i plon jej pracy jest jeszcze znikomy. Tembardziej tedy nasuwa się konieczność prowadzenia u nas przez cały szereg lat doświadczeń z obrączkowaniem na szeroką skalę, by poznać dokładniej obyczaje naszych skrzydlatych mieszkańców Polski i ich szlaki ciągów, i to nietylko tych, które z nastaniem pory właściwej wędrują na dalekie południe, lecz i niemniej licznej gromady t. zw. ptaków-tułaczy, które, jak wiadomo, odbywają wprawdzie mniejsze, ale dla biologa bardzo ciekawe wędrówki. Wszystkie te badania muszą, — o ile mają dać wyniki, stanowiące podstawę dla dalszej, już ściśle naukowej pracy, — być prowadzone na możliwie wielkim materjale doświadczalnym, przez dużą ilość współpracowników i w różnych okolicach Polski równocześnie.

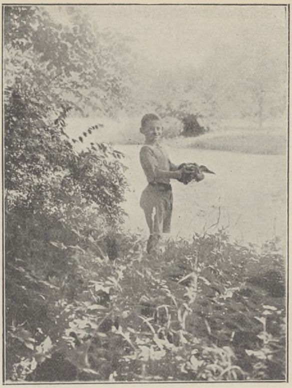
Oprócz jednak celów ściśle naukowych, obrączkowanie spełnia i inne cele, i daje inne, rzec można, przyjemności. Przyczyniając się z jednej strony praktycznie do dzieła ochrony ptaków, — z drugiej dla obrączkującego staje się źródłem całego szeregu emocyj sportowych, które jedynie dadzą się porównać z wrażeniami, jakie odbiera fotograf przyrody, podpatrujący swoim objektywem ruchy, czy też inne przejawy życia niedostępnych i trudnych do podejścia zwierząt dzikich. I właśnie pragnąłbym się podzielić z Sz. Czytelnikami „Łowca Polskiego" garścią tych wrażeń, jakie, — dzięki nader uprzejmemu zaproszeniu hr. Zamoyskich dla zobrączkowania ptactwa na terenie dóbr Trzebień-Magnuszew — udało mi się zebrać. Już samo położenie prastarej rezydencji w bliższem otoczeniu starodrzewiowego parku wśród dalszego pierścienia lasów przy bliskości Wisły opodal płynącej dawało przeczucie owocnej pracy. Bliższe zetknięcie najpierw z przyrodą parku, a następnie z dalszą okolicą umocniło mnie w tem przekonaniu, że jednak jest u nas w Polsce spory zastęp ludzi, znakomitych myśliwych, dla których przyroda, taka, jaką zastali, jest im drogą, tak, jak idea zachowania jej i ochrony, i myśl tę w całem tego słowa znaczeniu przeprowadzają. Stare, stuletnie lipy, pomimo chylenia się ku upadkowi, są troskliwie utrzymywane i rosną obok wysmukłych białodrzewów, do 3 metrów obwodu dochodzących, dając obfite schronisko gromadom drobnego ptactwa obok kolonji czaplej, będącej już wielką rzadkością w Polsce, a z 7—9 gniazd się składającej. Z wielkiem zamiłowanaiem porozmieszczane gniazda sztuczne, począwszy od drzwi domu — aż po zakątki odległe parku, dają schronienie i możność rozmnoży całej licznej gromadzie ptaków, gnieżdżących się w dziuplach. Dość powiedzieć, iż w ciągu jednego dnia zauważyłem na terenie majątku około 30 gatunków ptaków, co jak na piaszczyste i naogół tak smutne Mazowsze rekordową chyba cyfrę stanowi.



Trzebień. Czaple w worku jadą w górę. Fot. dr. K. Wodzicki.

Obrączkowanie wydaje się napozór nie trudne: cóż łatwiejszego, jak wyjąć z gniazda pisklęta, wyszukać odpowiedni numer obrączki, założyć i wsadzić zpowrotem? W praktyce przedstawia się to cokolwiek inaczej. Już samo wykrycie częstokroć niepozornie zupełnie wyglądającego gniazda wymaga pewnej specjalnej spostrzegawczości, którą nie każdy w równej mierze posiada. Często gniazdo znajduje się w dziupli, do której ledwie rączka dziecka bez uszkodzenia gniazda dostać się może: stąd praca w obrączkowaniu wymaga udziału starych i młodych. Ileż to wędrówek po drzewach daremnych: albo ptaki wyleciały, albo z jakiegoś powodu porzuciły jaja, lub wogóle w bieżącym sezonie gniazda nie obsadziły. Cóż dopiero za emocje, gdy trzeba obrączkować kolonję czapli, gnieżdżących się na białodrzewie, osiągającym wysokość 4—5 piętra o kruchych i rzadkich ga-

łązkach, po których tylko jakiś „Harry Peel" z pośród tubylców probóje się wspinać przy emocji obrączkującego, który siedząc wprawdzie na dole, dzieli z nim w pełni poczucie niebezpieczeństwa, no i... trochę odpowiedzialności na wypadek spadnięcia. Wreszcie znalazły się czaple na dole, są już zaobrączkowane, ale to połowa roboty. Blok specjalnie skonstruowany wciąga w worku cenną zawartość — dla zwrócenia rozpaczliwie krążącym i zapewne przeklinającym odpowiednio w ptasim języku rodzicom czaplim, a „Harry Peel" może jeszcze schodząc doznać jakiejś przygody. Nie bardzo zresztą jest czas na to, gdyż młodzi pomocnicy wypatrzyli jakieś nowe gniazda: oto stara wierzba z całą partją arcyzabawnych dudków, z powagą potrząsających czubami na widok założonej obrączki; tam lata przerażona o liczne swoje potomstwo w głębokiej dziupli ukryte sikora; gdzieindziej gniazdo sójki, tam znów mnóstwo szpaków. Obok momentów o wielkiem napięciu, pod względem emocyj równych niektórym filmowym obrazom detektywistycznym, szczególnie amerykańskim, nie brak i scen, pobudzających do wesołości. Oto młodziutka wrona, lecąc ponad stawem wpada na wodę i zwolna ku rozpaczy mocno zdenerwowanych państwa rodziców, tonie. Normalnie dla myśliwego obrazek zwykły i nawet może trochę pocieszający: tyle a tyle gniazd kuropatwich ocaleje, tyle zajączków więcej podbiegnie pod flintę jesienią. Ale „obrączkowiec" wie, że różne nasze krukowate czasem odbywają pewne jeszcze niezbyt ustalone wędrówki; np. gawrony Północy przychodzą w zimie w odwiedziny do naszych stert i podwórzy, a nasze mają ciągnąć, gdzieś bliżej słońca i ciepła. Niewiele



Trzebień. Z obrączkowania czapli. Fot. dr. K. Wodzicki.

się zastanawiając, skacze do wody i „ratuje" wronę ku wielkiej radości okolicznościowych i nieokolicznościowych pomocników, zdziwionych tą formą pracy „profesora".

Tak przeszedł dzień obrączkowania w Trzebieniu, żałować tylko należy, że był to dzień jeden.

DR. KAZIMIERZ WODZICKI.

O SARNACH.

W znakomitem swojem dziele o hodowli zwierzyny „Nie jest myśliwym, kto nie jest hodowcą" (Kein Heger, kein Jäger) już w r. 1899 hr. Sylva Tarouca powiada na str. 141, że sarna jest grubą zwierzyną przyszłości. Sarna zalicza się do drobnej zwierzyny — odpowiednio jednak traktowana może, a może niestety i musi zastąpić grubego zwierza, szczególnie jelenia. Gdy dziś znajdujemy w ogłoszeniach pism łowieckich oferty poważnych latyfundyj na dzierżawę terenów łowieckich, lub na odstrzał jeleni, czy innej grubej zwierzyny, nastręcza się pytanie, kogo stać będzie na hodowlę i polowanie na tę równie piękną jak kosztowną zwierzynę? Pomijam jelenie w Karpatach, dostępniejsze pod czysto finansowym kątem widzenia. Jednakże i tam nie łatwo uzyskać i utrzymać dobre łowisko i zdobyć piękny wieniec. Również nie każdy myśliwy jest w stanie ponosić trudy polowania w górskich terenach. Potrzebne do tego i serce, i płuca, i nogi. Wielu starszych myśliwych musi się wyrzec zgóry tych pięknych łowów.

W swoim czasie umieściłem w „Łowcu Polskim" ustępy z dzieła hr. Sylva Tarouci, w których autor omawia sposób karmienia zwierzyny, a także system odstrzału, by doprowadzić zwierzostan do pożądanej normy płci w stosunku jeden do jednego. Nie mogę nie położyć dość nacisku, jak ważnym czynnikiem jest ten stosunek tak w hodowli jeleni, jak i sarn. Dzięki niemu dochodzimy do zwierzyny zdrowej i dorodnej, a co z tem idzie do dobrego poroża, o co wszakże myśliwemu w pierwszym rzędzie idzie.

Od r. 1899 wiadomości łowieckie znacznie się rozszerzyły. Przybył nam przedewszystkiem sposób określania wieku sarn na podstawie ich uzębienia (Das Rehgebiss, sein Aufbau und seine Abnutzung in den verschiedenen Altersstufen von Dr. A. Ballauf — Jahrbuch des Instituts für Jagdkunde Band 3 Heft 3 1914-15 Neudamm und Berlin-Zehlendorf). Dawniej orzekaliśmy o wieku kozłów na podstawie ogólnego wglądu rogów i pnia róży, każdy mocny kozioł był przeważnie uznawany za starego. Nowa nauka przekonała nas, że tak nie jest. Sarny dochodzą przypuszczalnie do 12 lat wieku. Najlepsze rogi miewają kozły 3- i 4-letnie, starsze zaczynają się cofać i parostki tracą swe zalety. Skonstatowałem parokrotnie, że kozły 7-mioletnie wyraźnie wskazują na to, że kiedyś były o wiele lepsze.

Przypuszczam, że w dobrze ustosunkowanym zwierzostanie, cofanie się poroża później następować powinno. Jest to jednak jedynie przypuszczenie, którego praktyka mi jeszcze dowieść nie zdążyła. W tym stanie rzeczy można przyjąć, że jest pożądanem odstrzeliwać kozły pięcioletnie, oczywiście teoretycznie,

czyli innemi słowy piątą część kozłów, znajdujących się w łowisku. Jeżeli zatem mamy do czynienia z racjonalnie złożonym zwierzostanem 100 sztuk sarn, w czem idealnie z 50 kozłów i tyleż kóz, możemy odstrzeliwać 10 kozłów i 10 kóz, razem 20 sztuk. Na 50 kóz przyjmujemy 40 kóz 2-let. i starszych, od których moglibyśmy się spodziewać 80% przychówku, czyli 32 szt. Przybytek wynosiłby zatem 32 rocznie, czyli przyrost netto 12 szt. Tak głosi teorja, w praktyce jednak rzecz nie będzie się tak różowo przedstawiała, gdy weźmiemy i naturalny ubytek pod uwagę, ale w zdrowym zwierzostanie przy odstrzale 20% ogółem, jak powyżej, zwierzostan powinien w rzeczywistości przyrastać o jakie 6 szt. na sto, co nam da możność rozszerzyć pierwotny odstrzał co roku o 1—2 kozłów i tyleż kóz. Trochę cierpliwości, a zwierzostan i jakościowo będzie się poprawiał, a nie będziemy potrzebowali obarczać łowiska i kieszeni utrzymaniem niepotrzebnej ilości kóz, i będziemy mieli coraz lepszy wybór łownego zwierza. Samo się przez się rozumie, że nie możemy wykonywać odstrzału jedynie najpiękniejszych okazów, pewną ich ilość należy pozostawiać do dalszej reprodukcji, a starannie usuwać sztuki słabe, chore i wadliwe obojga płci. Nie da się prowadzić prawidłowego i uwieńczonego pomyślnym rezultatem gospodarstwa łowieckiego bez pewnych, możliwie ścisłych danych. W czasie więc zimy i wiosny, zanim las się zagęści i zwierzyna znajdzie schronisko w zbożach, należy porachować sarny w danej ostoi i na podstawie tych danych zaprojektować odstrzał na dany rok. Najwłaściwszą chwilą do tej czynności jest początek maja. Polowanie na kozły rozpoczyna się 15 maja, a do 1 maja powinny być odstrzelone przeznaczone w roku poprzednim do odstrzału kozy. W zimowych miesiącach, a szczególnie w drugiej połowie marca i w kwietniu najłatwiej jest poznać kozy jałowe, lub późno kotne, które również jako wadliwe uznać należy. Późno bowiem się latują, co powoduje powtórną ruję, która wycieńcza kozły, już normalną rują przemęczone. Potomstwo takich kóz, jako późny lęg, też przeważnie będzie niedorodne, i samo zginie lub będzie kwalifikowało się do odstrzału. Najwłaściwszą porą polowania na kozły jest czas rui, bo — co za pożytek, jeżeli przed tą chwilą wystrzelamy dobre okazy i nie damy im możności przekazywania swych zalet. Po rui zazwyczaj kozły się kryją i są bardzo trudne do zdobycia. Oczywiście nie można się zbyt ściśle krępować tą zasadą, wszak zwierzyna jest dla człowieka, który jej winien opiekę, a nie człowiek dla zwierzyny, i trudno stale sobie lub gościowi przyjemności strzału odmawiać. Przy układaniu preliminarza należy tę okoliczność uwzględnić i tak obliczyć, by pożądany zwierzostan w chwili rozpoczęcia rui istotnie się znajdował w ostoi. Zasady, które tu głoszę, są teoretycznym ideałem zapewne; w rzeczywistości i praktyce niełatwo będzie ściśle zastosować teorję, jak mój własny, dołączony poniżej wykaz uwydatnia, ale dążyć do ideału zawsze i we wszystkiem należy. Miękkie serce myśliwego względem płci pięknej, sarn w tym wypadku, też często staje na przeszkodzie odbicia pożądanej ilości kóz.

Łowne kozły i mocne — łatwo poznać, trudniejsza jest sprawa z orzeczeniem wartości średnich i słabszych. Najwytrawniejszy myśliwy częstokroć nie będzie w stanie przed strzałem rozpoznać starego szóstaka od młodego, który może rokować dobrą przyszłość. W zdrowych i dorodnych zwierzostanach sprawa ta mniejszą będzie przedstawiała trudność. W takich warunkach młode, obiecujące kozły miewają zazwyczaj wybujałe poroże, ostre i świecące końce odnóg, natomiast cienkie łodygi rogu, takie okazy oszczędzać należy. Stare kozły odznaczają się zazwyczaj większą grubością łodygi i tępemi końcami odnóg. Nie jest powiedziane, żeby stary kozioł miał być niezdatnym reproduktorem; stracone zalety przekazać potomstwu może, ale sam ich nie odzyska, wartość swą jako trofeum utracił.

Pomyłki zawsze się zdarzać będą. W r. b. zabiłem kozła, który miał wszelkie cechy starego i cofniętego i jako taki został przeznaczony do zabicia przed rują: zanik odnóg, operlenie prawie do wysokości dość grubej łodygi. Po zabiciu przekonałem się — po uzębieniu niemylnie, że był to dwulatek, normalnej wagi ciała 21,5 kg. Miał wszelkie dane wykształcić się na kapitalnego kozła.

Właściciel większych obszarów łowów ma zazwyczaj straż leśną i łowiecką, której zadaniem będzie przeprowadzanie wymienionej czynności, więc przerachowanie sarn i określenie ich jakości. W skromniejszych warunkach sam właściciel łowiska, o ile chce być dobrym myśliwym, czynności te powinien wykonywać. Ale gospodarka bez planu, opartego na cyfrowych danych, na stałe pomyślnych wyników osiągnąć nie może. Sarna zaś jest nader wdzięczną zwierzyną, która przy niezbyt wielkim zachodzie wiele nam łowieckiego zadowolenia przysparza, a zdobne parostki miłą stanowią pamiątkę udanych łowów i przeżytych wzruszeń i wrażeń.

ALEXANDER WIELOPOLSKI.

P. S. Dodaję skróconą statystykę stanu sarn i odstrzału w moich rewirach w Chrobrzu i Xiążu Wielkim.

Rok	Ogółem sarn	Kozły	Kozy	% kozłów	Odstrzał: Kozły	Odstrzał: Kozy
1924	275	89	186	33	12	4
1925	Brak danych				25	3
1926	359	123	236	34	23	18
1927	440	134	306	30	5	68
1928	399	146	253	36	11	25
1929	Brak danych				9	3
1930	386	178	208	46	24	19
1931	484	211	273	43	32	25
1932	511	225	286	44		
Preliminowany odstrzał w r. 1932					35	65

Powyższych cyfr nie można uznać za odpowiadające ściśle istotnemu stanowi rzeczy, szczególnie w dawniejszych latach brak wprawy musiał powodować omyłki. Obecnie straż się obznajmiła ze sposobem rachowania zwierzostanu i określaniem poszczególnych jednostek, dzięki czemu spodziewam się na przyszłość dodatnich wyników. Jeżeli preliminarz ro-

ku 1932 uda się należycie wykonać, powinno pozostać na r. 1933 (dodając tegoroczny przyrost) ok. 500 szt. sarn, w tej ilości bezmała 50% kozłów. Normalny odstrzał w tych warunkach, z pożytkiem dla zwierzostanu, bo rokujący mu pewien przyrost, można będzie wykonać w granicach około 100 sztuk razem, po 50 każdej płci, gdy w roku bieżącym mogłem się zdecydować przy 511 sztukach sarn na zabicie maksimum 35 kozłów i musiałem przeznaczyć do odbicia aż 65 kóz, które nie przysparzają żadnej przyjemności myśliwemu.



Piękny wachlarz. Fot. Fr. Knopl.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

PLAN OGÓLNY I WARUNKI UDZIAŁU

w II dorocznym pokazie trofeów łowieckich w dniach od 3-go do 20 listopada 1932 r.

II pokaz trofeów łowieckich w Warszawie odbędzie się w roku bieżącym w czasie od 3 — 20 listopada włącznie.

W skład Komitetu Organizacyjnego wchodzą:

Prezes: p. gen. dyw. Kazimierz Fabrycy,

v. prezes: p. inż. Herman Knothe,

skarbnik: p. Józef Skrzypek,

sekretarze: pp. mjr. dypl. Wł. Rozwadowski i kpt. M. Wanat-Czajkowski,

członkowie: pp. B. Gędziorowski, C. Lisowski, J. Żukotyński z prawem kooptacji.

Na pokaz przyjmowane i nagradzane będą trofea, zdobyte w czasie od 1 maja 1931 do 31 października 1932 roku.

Eksponaty:

1) Trofea: łopaty łosi, wieńce jeleni, łopaty danieli, poroża sarnie (dobre, myłkusy, selekcyjne w grupach), szable dzicze, oraz inne trofea wyjątkowo ciekawe, rzadkie lub bardzo dobre (według uznania Komitetu).
2) Mapy poszczególnych województw ze wskazaniem gatunków zwierzyny łownej i przybliżonej jej ilości w stosunku do obszaru.
3) Wykazy łowieckie, ilustrujące racjonalną hodowlę i gospodarkę łowiecką.

U w a g a. Ugrupowanie trofeów na pokazie będzie dwojakie:

W I-ej połowie czasokresu pokazu: gatunkami;

w II-ej połowie czasokresu pokazu: województwami.

Ostateczny termin zgłoszeń upływa 15-go października 1932 r. Po tym terminie w drodze wyjątku przyjęte zostaną tylko eksponaty, zdobyte pomiędzy 15 — 31 października r. b.

Korespondencje w sprawie Pokazu należy kierować do P. Z. S. Ł. w Warszawie, N.-Świat 35 p. a. Komitetu Organ. II Pokazu Trofeów Łowieckich.

Dalsze szczegóły i informacje będą pomieszczane w „Łowcu Polskim".

LISTY DO REDAKCJI.

W sprawie fotografji myśliwskiej.

Jako myśliwy, wrażliwy na piękno naszej przyrody, pragnąłbym, żeby z łamów organu łowieckiego tryskało jej życie w całej swojej potędze i krasie. Nie wątpię, żeby to drogie i miłe nam pismo, jeszcze bardziej zyskało na uroku, już nie tylko dla nas myśliwych, ale i dla miłośników przyrody niemyśliwych, gdyby ilustracje, zdobiące je, — ta jego szata zewnętrzna, więcej oddawały nam piękna życia czworonożnych i skrzydlatych mieszkańców naszych pól, łąk i lasów. To bujne życie tętni mocnym pulsem w bogatej treści wielu artykułów; ilustracje cechuje najczęściej gasnące życie lub śmierć. Sądzę, że każdy mi przyzna, że takie „ożywienie" pisma byłoby ze wszech miar pożądane ale... Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Bo i jak przekonać naszych myśliwych, żeby zamiast strzelby, brali ze sobą do kniei aparaty fotograficzne. Żeby się nieraz godzinami podkradali do zwierzyny, by ją wreszcie „upolować" na kliszę? Nie mam zamiaru na to kolegów myśliwych namawiać, bo mam wrażenie, że byłby to głos wołającego na puszczy. Jednak, mając w tym kierunku pewne doświadczenie, radziłbym sprobować.

Kto wie czy ten bezkrwawy, choć o wiele trudniejszy rodzaj polowania nie zyskałby choć kilku zwolenników, a może nawet entuzjastów wśród naszych myśliwych, a szczególnej prawdziwych sportowców.

Na to jednak nie liczyłbym zbytnio. Mam projekt bardziej realny.

Jest w Polsce wielka organizacja młodzieży, do której mamy zaszczyt należeć, pod wielu względami pokrewna myślistwu, bo mająca w swych przykazaniach miłość przyrody i poznawanie jej, bo rozmiłowana w harcach na Jej łonie — harcerstwo. Jest lato, tysiące obozów harcerskich rozproszyło się po najbardziej odległych i najdzikszych zakątkach Polski. Fotografowanie żywej zwierzyny — to jeden z zalecanych sportów w harcerstwie. „Łowiec Polski" mógłby skorzystać z bezkrwawych polowań harcerskich i zaopatrzyć się w zapas najpiękniejszych scen z życia naszych zwierząt i ptaków. Należy tylko wejść w kontakt z bracią harcerską, ogłosić wśród niej konkurs na najlepsze i najciekawsze z punktu widzenia „Łowca" zdjęcia, zachęcić wyznaczeniem paru nagród. Wreszcie może i opis takiego polowania okazałby się interesującym i emocjonującym. Byłby to

może pierwszy krok do zyskania młodzieży szkolnej dla idei łowiectwa w najczystszem jej pojęciu, idei, która właściwie zrozumiana i odczuta, zawiera wiele szlachetnych pierwiastków wychowawczych. Dalszym etapem w zyskiwaniu młodzieży mogłyby być odczyty z przezroczami i odpowiednie filmy. W walce z kłusownikami i innymi wrogami zwierzyny moglibyśmy zyskać potężnego sprzymierzeńca.

Z poważaniem
INŻ. STEFAN WOYCZYŃSKI
harcmistrz i komendant hufca.

Łomża, ul. Krótka 1.

Myśl Szanownego Korespondenta jest bez wątpienia piękna i słuszna. Zainteresowanie młodzieży naszej sztuką fotografowania zwierzyny jest pożądane.

Redakcja „Łowca Polskiego" co roku ogłasza konkursy fotograficzne i udział młodzieży wogóle, a młodzieży harcerskiej w szczególności w tych konkursach będzie nader mile widziany.

Redakcja.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

PŁOWE SĘPY.

W końcu maja roku bieżącego otrzymałem zawiadomienie, że na terenie powiatu grodzieńskiego został ubity okazały egzemplarz sępa płowego, który został oddany do wypchania do Muzeum Przyrodniczego w Grodnie.

W celu sprawdzenia tej wiadomości udałem się do Muzeum. Sępa znalazłem już wypchanego.

Rzadki w tych okolicach ptak (Vultur fulvus) został ubity dnia 26 maja o godz. 16 m. 30 we wsi Krejwiany, gm. Andrzejewo, pow. suwalskiego przez włościanina tejże wsi, Piotra Uzdziełło, w tym momencie, kiedy, siedząc na brzozie obok zagrody, czatował na owce.

Uzdziełło ofiarował ubitego ptaka nadkomisarzowi pol. państw. w Grodnie, p. Boruckiemu, który oddał go do Muzeum Przyrodniczego w Grodnie.

Rozpiętość skrzydeł ptaka wynosi 2 m. 75 cm. Inne pomiary nie były dokonane.

Prawie jednocześnie ubito drugiego sępa płowego w pobliżu maj. Bieniuny pow. oszmiańskiego *).

Jednoczesne ukazanie się rzadkich u nas ptaków w dwóch dosyć odległych od siebie miejscowościach kraju jest rzeczą ciekawą. Płk. M. NIEDŹWIEDZKI.

Z OGRODU ZOOLOGICZNEGO W WARSZAWIE.

Nadeszły do Ogrodu Zoologicznego w Warszawie dwa białe strusie, pochodzące z Ameryki Południowej. Są to nader rzadkie okazy. Ogród Zoologiczny w Warszawie posiada kolekcję białych zwierząt najbardziej kompletną w Europie. Ogród posiada bowiem oprócz wspomnianych strusi, białe pawie, białe daniele, białą kuropatwę i białe zające. Obiecana jest także wkrótce dostawa białej wiewiórki pochodzenia krajowego.

11 b. m. Ogród Zoologiczny w Warszawie powiększył się o 1 zebrę; jest to dopiero 7 wypadek narodzin zebry w ogrodach zoologicznych w Europie.

W ostatnim roku w ogrodzie naszym urodziły się: jeleń-axis, 4 wilczki, 2 lamparty, 14 psów dingo, 6 lwów i lama.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Ukazał sią Nr. 7 (lipcowy) „Ech Leśnych" — czasopisma ilustrowanego, poświęconego popularyzowaniu lasu i leśnictwa wśród społeczeństwa.

W zeszycie tym zwraca uwagę artykuł p. t. „Klęska naszych lasów", omawiający inwazję szkodnika leśnego — sówki chojnówki. Poza szeregiem innych zajmujących artykułów popularno-fachowych i stałych działów, jak echa łowieckie, z życia leśnika-akademika, lasy zagranicą, z miesiąca, scena i życie, wśród książek, kącik dla pań, treść tego numeru urozmaicają feljetony: — „Lot w niewiadome", „Krzyżacka spuścizna", „Międzynarodowy kongres Penclubów" i t. p.

Zeszyt lipcowy, jak zwykle, starannie wydany, zdobią liczne aktualne ilustracje.

*) Fotografję zamieściliśmy w N-rze 28 na str. 463. *Przyp. red.*

KOMITET REDAKCYJNY: J. Błeszyński, K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogl. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyncze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić.

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

OGŁOSZENIA DROBNE

Dyplomowany leśnik, były komisarz ochrony lasów z długoletnią praktyką leśną, poszukuje posady nadleśniczego lub leśniczego. Roman Pęski. Toruń, Mickiewicza 116.

Roczniki oprawne „Łowca Polskiego" za 1927, 28, 29 i 30 rok okazyjnie do sprzedania. Wiadomość: Irena Detko, Sosnowiec, ul. Nowa 4.

Sukę setlerkę angielską z rodowodem, dobry wiatr, ułożoną, z aportem — zamienię na psa myśliwskiego (wyżła) z dobrym wiatrem i aportem, dowolnej rasy. Wiadomość w administracji „Łowca Polskiego".

Sprzedam za 250 zł. wyżła ułożonego, aportuje z lądu i wody, młody, pierwsze pole, maść — łaty ciemno-bronzowe i sine nakrapiane, oraz 50 fretek do tępienia królików, maści jasnej i ciemnej, sztuka 35 zł. Stefan Klażak Bażantarnik, Nadleśnictwo Krośniewice, poczta Ostrowy Warszawskie.

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.